

ROZDZIAŁ VII

Powrót kapitana

Kariera kapitana Tadeusza Krzepickiego w Departamencie I Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – czytaj: Wywiadzie Służby Bezpieczeństwa – rozwijała się znakomicie. W połowie 1979 roku ukończył kurs dla nowo przyjętych funkcjonariuszy zorganizowany w tajnym ośrodku bezpieczeństwa w Starych Kiejkutach. Poziom nauczania i jego zakres rozczarowały Tadeusza Krzepickiego. Oczekiwał od wykładowców większej wyobraźni, kreatywności i spontaniczności w zlecaniu zadań. Tymczasem większość energii tracił na szlifowanie języka niemieckiego oraz na naukę historii i geografii tego kraju. Zajęcia praktyczne – obserwacja i jej wykrywanie, tajna łączność, poszukiwanie informacji czy werbowanie agentury – stanowiły mniej niż połowę czasu spędzanego na ćwiczeniach. Praktycznie nie prowadzono zajęć wychowania fizycznego, a strzelanie w ciągu sześciu miesięcy pojawiło się czterokrotnie. Zaliczenie egzaminów cząstkowych oraz końcowego przyszło mu bez trudu. Nie poznał ocen, jakie uzyskał, ani też opinii na swój temat. Pozostała ona tajna dla zainteresowanego. Tylko tak – według wykładowców – można było zachować pełen obiektywizm przy jej sporządzaniu.

Bezpośrednio po ukończeniu kursu, w połowie 1979 roku, został skierowany do służby zagranicznej. Wpływ na to miały nie tylko dobre oceny oraz znajomość języka niemieckiego. Czynnikiem decydującym były wyniki całkiem innych egzaminów, a precyzyjnie mówiąc – testów, które Tadeusz Krzepicki wypełniał jeszcze w Poznaniu, aspirując do służby w Milicji Obywatelskiej. Ujawniły one wysoki stopień sprawności intelektualnej, co w połączeniu ze szczególnymi predyspozycjami osobowościowymi, przez niektórych nazywanymi charakterologicznymi, sprawiło, że potrafił odgadnąć oczekiwania, potrzeby innych oraz ich słabe punkty, nie ujawniając przy tym własnych. Zjednywał sobie ludzi i wywierał na nich wpływ, tak by nieświadomie dla siebie, a jednocześnie z własnej woli realizowali jego cele. Jednym słowem: umiał manipulować. Z opinii milicyjnych psychologów wynikało też, że nie miał wewnętrznych oporów przed korzystaniem z tego niezwykłego talentu. Od razu zauważono, że stosował on wszystkie opisane w literaturze techniki, choć największe efekty powinno według nich przynieść odwołanie się do wyszukiwania słabych punktów i ukryte wywieranie na nie wpływu, podsuwanie gotowych rozwiązań i wreszcie zdobywanie sympatii manipulowanej jednostki. Z takim posagiem wstępował do służby wywiadowczej funkcjonariusz Tadeusz Krzepicki.

Znajomość niemieckiego od razu zakwalifikowała go do pracy na rzecz Wydziału I, który prowadził operacje przeciwko Republice Federalnej Niemiec. Początkowo przełożeni zastanawiali się, w jakiej formule powinien realizować związane z tym zadania. Polski wywiad stosował wówczas trzy sposoby tak zwanego przykrycia swoich

funkcjonariuszy wyjeżdżających za granicę do szpiegow-
skiej roboty.

Pierwszą i najbardziej popularną formą był wyjazd w charakterze dyplomaty, drugą działalność naukowa, kolejną działalność biznesowa. Wszyscy szpiedzy pracujący za granicą PRL, dla utrzymania w tajemnicy prawdziwej profesji, musieli wykonywać jakieś zajęcie, które miało uniemożliwić ich identyfikację jako wywiadowców. Nielegalną pracę szpiega realizowali niejako obok i przy okazji nominalnej profesji. Przy czym cała ich oficjalna aktywność zawodowa była podporządkowana temu wąskiemu wycinkowi, dla którego w rzeczywistości do danego kraju przyjechali.

Ta swoista zasłona miała na celu nie tylko legendowanie – czytaj: fałszowanie, ukrywanie – rzeczywistych zainteresowań, ale też naturalne, niebudzące podejrzeń zbliżanie się poprzez nawiązywanie określonych kontaktów do obiektów zainteresowania, którymi mogły być pojedyncze osoby, firmy, instytucje lub jednostki wojskowe.

Wyjazd w charakterze dyplomaty – z uwagi na powszechność stosowania w całym świecie tej metody przykrycia agentów – sprawiał, że delikwent automatycznie wchodził w zainteresowanie kontrwywiadu. Niejednokrotnie podlegał całodobowej obserwacji, podsłuchowi, kontroli korespondencji i innym dostępnym metodom inwigilacji, także poprzez podstawionych w różnych rolach agentów lub oficerów kontrwywiadu. Mogły to być osoby przedstawiające się jako listonosze, taksówkarze, prostytutki, przypadkowi znajomi, przechodnie. Kontrwywiad mógł też wykreować sytuacje, w których z inwigilowanym

łatwo było nawiązać kontakt lub zebrać materiały kompromitujące go, tak by później wykorzystać je podczas werbowania, czytaj: przeciągania na swoją stronę. Rzekomy dyplomata musiał liczyć się z tym, że podczas pełnionej misji nie będzie miał żadnych przyjaciół, koleżanek, kolegów, bezinteresownych znajomych. Każdy był potencjalnym wrogiem, śledzącym go i czekającym na błąd. Wyraz *zaufanie* wymazano z jego słownika. W każdym momencie musiał się kontrolować i sprawdzać, tak aby określić stopień zainteresowania swoją osobą, co mogło pomóc w ocenie, czy kontrwywiad traktuje go jak jednego z wielu dyptomatów czy jak zawodowego wywiadowcę. Dochodził do tego całkowity brak prywatności, możliwość podglądania i podsłuchiwania w każdej, nawet najbardziej intymnej i wstydlivej sytuacji. Stan, w którym żyli ci ludzie, nazywano samotnością szpiega.

Alienacja nie jest jedynym problemem, z jakim muszą sobie radzić tajni agenci operujący za granicą jako dyplomaci. Żeby zdobyć informacje, muszą werbować współpracowników, używając do tego metod rzadko dających się wpisać w kodeks rycerski. Przy tym współpraca z obcym wywiadem, niezależnie od okoliczności, w jakich została podjęta, jest karana długoletnim więzieniem, a w niektórych państwach nawet śmiercią. Oficer wywiadu nie może zapewnić swojemu współpracownikowi pełnego bezpieczeństwa, nie wykluczy bowiem możliwości dekonspiracji spowodowanej czynnikami nieprzewidywalnymi: błędem, przypadkiem albo zdradą. Odpowiedzialność za zwerbowanego współpracownika jest balastem, który oficer nosi na swoich ramionach.

Kiedy spotykało się szpiegów w kraju, w szerszym gronie, podczas przerw pomiędzy kolejnymi misjami, zawsze sprawiali wrażenie zadowolonych, rozbawionych, prześcigali się we wzajemnym przygadywaniu i dowcipach. Nie dało się wówczas zauważyć odczuwania choćby cienia kontrowersji lub emocji związanych z wykonywaną profesją. Właśnie dlatego, że była to ich praca, nie pozwalali sobie na uczucia. Niczym chirurdzy przy operacjach czy rehabilitanci mozolnie przywracający do życia ludzi po wypadkach, starali się nie ekscytować swoją pracą. Za pomocą kpiny, szyderstwa i wulgaryzmu uciekali od brudu rzeczywistości i identyfikowania się z błotem, które było spoiwem ich służby. Kilkaset pokoleń szpiegów wypracowało ten prosty i skuteczny mechanizm obronny. Z doświadczenia wiedzieli, że jeżeli nie będą się bronić przed tym, co ich otacza, odejdą w niebyt. Kto tego nie potrafił, uciekał w alkohol lub szaleństwo, by zniknąć niczym kropla deszczu spadająca na pustynię.

Wykonywanie misji pod przykryciem dyplomaty miało jednakże jeden, niezwykle atut. W przypadku ujawnienia podwójnej roli, szpieg nie trafiał do więzienia. Okazywał paszport dyplomatyczny i korzystając z immunitetu, wracał do kraju, z którego przyjechał. Był bezpieczny, na pewien czas musiał być wycofany, jego kariera zostawała zawieszona, ale pozostawał wolny.

Wyjazd pod płaszczykiem działalności naukowej lub biznesowej nie dawał już tego komfortu. Namierzenie przez służby specjalne było trudniejsze, ale konsekwencje wpadki niepomierne gorsze. W skrajnym przypadku lądowało się w kanale rzeczonym. W najlepszym, po kilku

latach odsiadki można było zostać wymienionym na innego szpiega, odbywając rytualną podróż przez most szpiegów – Glienicke – łączący Berlin Zachodni z Poczdamem. Po powrocie los pojmanego był równie kruchy, jak przed nim. Otoczony brakiem zaufania musiał udowodnić, że nie przeszedł na drugą stronę i nie dał się złamać.

Służby krajów zachodnich miały początkowo proste zadanie, ponieważ Polaków przyjeżdżających w roli naukowców było niewiele, a w roli biznesmenów jeszcze mniej. Łatwo było ich policzyć i kontrolować. Stopień trudności wzrósł wraz z narodzinami nowej emigracji lat osiemdziesiątych. Im gorzej działo się w Polsce Ludowej, tym łatwiej było ją opuścić i nie wrócić. Z tej możliwości tylko w roku 1980 skorzystało blisko siedemdziesiąt tysięcy osób, które poprosiły o azyl na Zachodzie. Po tym jak liczba ta w połowie dekady przekroczyła pół miliona, rozumiano, że nie można śledzić wszystkich, trzeba się skupić i chronić przed penetracją określone, atrakcyjne dla obcych wywiadów instytucje, przedsiębiorstwa, ośrodki naukowe i decyzyjne, a wraz z nimi ludzi tam pracujących. Pomimo zmiany taktyki i filozofii kontrwywiadowczej wykrycie *nielegała*, czyli szpiega działającego bez ochrony immunitetu dyplomatycznego, było sztuką niezwykle trudną, a zwycięstwa były sporadyczne i wątpliwej jakości. Prawdziwy sukces szedł zwykle w parze ze zdradą i pozyskaniem do współpracy lub zwykłą dezercją oficera z wrogiego obozu. Te, ku utrapieniu polskich władz, rosły w swej liczbie w tempie zastraszającym. W pierwszych dwóch latach dekady na Zachód uciekło ponad trzydzieści pracowników polskich placówek dyplomatycznych.

Najbardziej dotkliwą była ucieczka kapitana Jerzego Sumińskiego. Ten protegowany Czesława Kiszczaka, pełniący służbę w Zarządzie II Sztabu Generalnego Ludowego Polskiego, miał za zadanie tropić zdrajców we własnych szeregach. Uplasowanie w tym miejscu dawało dostęp do nazwisk wszystkich oficerów i ich tajnych współpracowników pracujących dla wywiadu wojskowego za granicą. Jego ucieczka latem 1981 roku uczyniła wywiad wojskowy bankrutem.

Decydujący o losie Tadeusza Krzepickiego oficerowie zarządzający Departamentem I MSW wiedzieli, że mają do czynienia z osobnikiem szczególnie uzdolnionym. I choć nie spadły na nich jeszcze dezercje i ucieczki z kraju, których fala miała się rozlać dopiero za kilkanaście miesięcy, starali się osiągnąć efekt maksymalnego zakamuflowania młodego wywiadowcy i odcięcie od skojarzeń z aparatem państwowym. Wybranie tej koncepcji oznaczało wyjazd w charakterze *nielegata*. Na wstępie odrzucono przykrywkę naukowca. Wykształcenie prawnicze nie dawało podstaw do prowadzenia badań na interesujących z punktu widzenia wywiadu uczelniach technicznych. Zdecydowano zatem, że Tadeusz Krzepicki zostanie biznesmenem, co da mu swobodę poruszania się na terenie Republiki Federalnej Niemiec i dostęp do szerokiej rzeszy firm i osób. Zrezygnowano z zatrudniania go w jednej z firm państwowych, mogło to bowiem rodzić podejrzenia o związki z komunistycznym aparatem. Niemcy wiedzieli, że za granicę nie delegowano osób przypadkowych, a skrupulatnie dobrane, posiadające związki rodzinne z władzami lub będące współpracownikami służb specjalnych.

W owym czasie hitem sprzedaży w Niemczech była polska pasta BHP służąca robotnikom i pracownikom fizycznym wszelkich zawodów do czyszczenia zabrudzeń spowodowanych smarem, smołą, farbą i czymkolwiek używanym w pracy wykonywanej przy użyciu rąk. Produkujące tę pastę zakłady nie nadążały z wytwarzaniem, a przemysł kwitł na wielką skalę. Niemieccy rzemieślnicy, rolnicy i drobni producenci kupowali na bazarach każdą ilość różowej substancji.

Zaopatrzony w fałszywy paszport ze zmyślnym życiorysem oraz prawdziwe pieniądze Tadeusz Krzepicki wyruszył na swoją misję jako Tadeusz Seweryn. Młody, prężny handlowiec miał zaferować produkt sieciom handlowym i zakładom przemysłowym, górniczym, zbrojeniowym, chemicznym, elektronicznym wszystkich możliwych branż. Przełożeni postawili przed nim jedno zadanie: nawiązać jak najwięcej kontaktów handlowych i wejść w relacje towarzyskie ze średnią kadrą kierowniczą zakładów kupujących pastę BHP.

Od pierwszych dni sprzedaż szła nadspodziewanie dobrze. Firmy kupowały próbne partie, by po pewnym czasie podpisywać umowy na stałe dostawy. I tak, oferowana w trzech postaciach pasta: mydlana, detergentowa i ścierna czyściła ręce niemieckich robotników, jednocześnie napędzając dewizami głębokie kieszenie wywiadu Służby Bezpieczeństwa, który z tych środków finansował zagraniczne przedsięwzięcia.

W połowie 1980 roku Tadeusz Seweryn vel Tadeusz Krzepicki współpracował z wiodącymi firmami niemieckimi. Kontrahenci bardzo lubili tego uprzejmego,

sympatycznego młodego człowieka. Był zawsze punktualny, po niemiecku solidny, co mogło wynikać z jego pochodzenia. Tłumaczył, że jego dziadkowie ze strony matki pochodzili z Królewca, i po wojnie nie powrócili już do Niemiec, osiedlając się na Mazurach. To oni i matka nauczyli go mówić po niemiecku. Jediną książką, jaka została im po wojnie, był Faust Goethego, czytany przez dziadka, który uczył go mowy przodków. Po rodzinnej tragedii, której przyczyną był pożar rodzinnego domu, a efektem śmierć rodziców i niemieckich dziadków, postanowił wyjechać. Nie zostały mu żadne pamiątki; jedynie wspomnienia.

Historia ta budziła u słuchaczy wielkie emocje, szczególnie jeżeli owymi odbiorcami były przedstawicielki płci przeciwnej. Umiejętność opowiadania w połączeniu z wysportowaną sylwetką i kwadratową szczęką Tadeusza Seweryna działała na Niemki niczym lampa zapalona w środku lasu na spragnione światła ćmy. Były wśród nich kierowniczkę działów zakupu, sekretarki, księgowę i inne pracownice administracji przedsiębiorstw kupujących polski przebój – pastę BHP.

Tadeusz Krzepicki uwodził te kobiety, stosując określony szablon. Najpierw był grzeczny i sympatyczny, jednak lekko zdystansowany. W rozmowie starał się dyskretnie dowiedzieć, czy dziewczyna ma dostęp do interesujących go sfer działania firmy. Jeżeli to potwierdzał, kontynuował zacieśnianie znajomości. Z czasem, to jest po trzecim służbowym spotkaniu, pozwalał sobie na komplement. Kolejnym krokiem była czekoladka, a następnie wspólny spacer, jogging lub kawa. Wtedy

pozostawało opowiedzieć historię matki i dziadków i ryba była złowiona. Reszta była już formalnością. Patrząc na pracę wykonywaną przez polskiego wywiadowcę, można by stwierdzić, że była lekka i przyjemna. Należy jednak zauważyć, że dobór partnerek nie odbywał się nigdy pod kątem ich wyglądu, a przydatności dla Departamentu I MSW. Dlatego też wykonywanie zadań nierzadko wymagało od młodego polskiego oficera poświęceń, na które nie każdy mężczyzna jest gotów. Jedynym wymogiem, którego się trzymał, było kryterium wieku. Przekonał przełożonych, że aby nie budzić podejrzeń, nie może uwodzić kobiet starszych od siebie o więcej niż pięć lat. Zgodzili się, pomimo iż zdawali sobie sprawę, że to wymówka.

W połowie 1982 roku Tadeusz Krzepicki został porucznikiem. Zaopatrywał w informacje i materiały połowę Departamentu I. Zbudował doskonale funkcjonującą sieć informaterek zatrudnionych w niemieckich instytucjach i przedsiębiorstwach. Były wśród nich panny, mężatki, rozwódki. Były kobiety piękne, ale też i ich szpetne przeciwieństwa. Łączyło je jedno: kochały Tadeusza Seweryna. Żadna z nich nie podpisywała zobowiązań, żadna nie była proszona o to, by zdradziła swój kraj. Ich werbunek przebiegał w sposób niezauważony dla nich samych, był jak mżawka. W pierwszej fazie znajomości rozmawiały z ukochanym o sobie, rodzinie, znajomych. Z czasem opowiadały o pracy, koleżankach, kolegach, ich problemach, sukcesach, romansach. Opisywały też, czym zajmują się poszczególne osoby. Bardzo często, by nie powiedzieć w każdym przypadku, chcąc okazać swojemu

mężczyźnie zaufanie, mówiły o sprawach, które były objęte klauzulami tajemnicy. Tadeusz zdawał się nie wykazywać tym zainteresowania, jakby nie rozumiał rangi informacji i popełnionej niedyskrecji. Odwzajemniał się jednak wyrozumiałością i nieustannie okazywaną fascynacją połączoną z pożądaniem. Namiętność była podsycana nieobecnością Tadeusza, nieustannie podróżującego po ojczyźnie Goethego z pastą BHP w skórzanym neseserze. Chcąc udomowić ambitnego przedsiębiorcę i związać z jednym miejscem, kobiety namawiały, by zmienić zajęcie, zamieszkał z nimi pod jednym dachem. Czyniła to znakomita większość pań, niezależnie od stanu cywilnego.

– Moglibyśmy zamieszkać razem – słyszał wtedy.

– To niemożliwe – odpowiadał. – Sama wiesz, jak bardzo bym chciał każdego dnia budzić się obok ciebie, chodzić z tobą na spacer, zakupy i robić wszystkie te zwykłe, codzienne rzeczy, które tak rzadko nam się przytrafiają.

– Mógłbyś zmienić zajęcie albo zatrudnić kogoś do pomocy.

– Nie, zatrudnienie kogoś odpada. Dochody są przyzwoite, ale nikt nie przypilnuje spraw tak, jak ja sam.

– A gdybyś nawet mniej zarabiał, nadal będę cię kochać.

– Wiem, ukochana – stawał przed kobietą, podchodził i mocno ją tulił – ale nie mogę się zgodzić na to, że nasze dzieci będą wychowywać się w niepewności jutra, że cały czas będziemy tak żyć. Sam się tak wychowywałem i chcę, aby nasze dzieci miały lepsze życie.

– Powiedziałeś „nasze dzieci”. – W oczach pokazywały się łzy.

On niczego już wtedy nie mówił, tylko mocno tulił przyszłą matkę.

Po takiej rozmowie mijało zwykle kilka tygodni, nim kobieta wracała do tematu. A wtedy Tadeusz odpowiadał:

– Są pewne możliwości zarobienia dużych pieniędzy. Mógłbym wtedy zmienić zajęcie – zawieszal głos.

– Tak? – słyszał euforyczne zdziwienie.

– Tak... – dźwięk grzął w jego gardle – ale nie mogę cię o to prosić.

– Co to takiego? – padało pełne emocji pytanie.

– Nie, naprawdę nie mogę. Nie mogę cię narażać.

– Powiedz – mówily – wiesz, że możesz mi zaufać, że zrobię dla ciebie wszystko.

– Jest pewna amerykańska firma zainteresowana... – przerywał – wasza konkurencja...

Tak mniej więcej wyglądał ten proces. Wtedy właśnie Tadeusz składał propozycję sfotografowania dokumentów lub założenia w pomieszczeniach służbowych pluskwy podsłuchowej. Zrobienie tego miało pozwolić na zarobienie dużych kwot liczonych w niemieckich markach i zamieszkanie we wspólnym, wymarzonym domu. Rzekomym zleceniodawcą zawsze była amerykańska konkurencja, chcąca wejść w posiadanie niemieckich technologii, planów zarządów firm czy innych danych. W przypadku instytucji i urzędów państwowych zleceniodawcą była konkurencja polityczna, reszta pozostawała bez zmian. Kobiety zwabione ofertą połączenia życiorysów: domem, dziećmi – czytaj: szczęśliwym życiem – nie tylko godziły się na wszystko, ale prosiły ukochanego, by nie zabraniał im zrobić czegoś dla ich wspólnego dobra.

Działalność polskiego szpiega przynosiła coraz lepsze efekty. Doszło też do sytuacji, że kierownictwo Departamentu I MSW rozważało zgodę na ślub Tadeusza Seweryna z prześliczną Ingrid zatrudnioną w Ministerstwie Obrony Narodowej Republiki Federalnej Niemiec zarządzanym przez byłego pilota wojskowego Manfreda Hermannna Wörnera. Para była ze sobą bardzo zżyta i kobieta postawiła ultimatum: ślub albo rozstanie. Uznano, że ożenek może naprowadzić na trop Polaka niemieckie służby i nakazano grać na zwłokę, jak długo się da, opowiadać o problemach finansowych firmy i niesolidności zlecających.

Sytuacja rozwiązała się w z końcem 1983 roku. W sierpniu tego roku oficer Departamentu I MSW Jerzy Koryciński, jednocześnie agent Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych, lepiej znanej jako CIA, opuścił ambasadę polską w Sztokholmie i jak raportowano do centrali MSW „najprawdopodobniej przeszedł na stronę wroga”.

Koryciński znał Krzepickiego, z którym spotkał się dwukrotnie w Starych Kiejkutach, gdzie prowadził wykłady dla słuchaczy kursu wywiadu. W związku z grożącą dekonspiracją, postanowiono nie czekać na działania niemieckiego kontrwywiadu. Tadeusz Seweryn wyjechał do Polski, by załatwić sprawy majątkowe związane ze sprzedażą domu na Mazurach. Niestety, w ostatnich dniach września 1983 roku, podczas nurkowania na jeziorze Mamry, zginął, pozostawiając w Republice Federalnej Niemiec rzeszę zrozpaczonych narzeczonych, w tym piękną Ingrid, która przybyła do Olsztyna na pogrzeb ukochanego.

Po śmierci Tadeusza Seweryna firma handlowa upadła, a że życie nie znosi pustki, niemiecki rynek pasty BHP przejął wkrótce pewien młody biznesmen z Poznania, któremu w interesach pomógł dobrze sytuowany ojciec.

Powrót do Polski był dla Tadeusza Krzepickiego nieprzyjemną koniecznością. Rezygnował nie tylko ze swobodnego, dostatniego życia na Zachodzie, sklepów z pełnym zaopatrzeniem, czystych ulic i wygodnego audi 80. Wyrzekał się pracy, w której rytm wyznaczały rzeczywiste potrzeby, a nie zegar biurowy. Nie to jednak było najtrudniejsze. Kiedy patrzył w sufit, leżąc samotnie na łóżku w pokoju hotelowym ośrodka szkoleniowego w Starych Kiejkutach, gdzie odbywał swoistą kwarantannę, wcale za tym nie tęsknił.

Brakowało mu Ingrid z jej ciepłem, oddaniem i kobiecością. Zdał sobie sprawę ze swojego przywiązania i uczuć, jakimi ją darzył, dopiero wtedy, gdy zdrada Korycińskiego na zawsze ich rozdzieliła. Było mu szkoda Ingrid, którą zobaczył na nakręconym ukrytą kamerą filmie ze sfingowanego pogrzebu. Rozpacz dziewczyny była najsilniejszym i najczystszy dowodem miłości, jaki kiedykolwiek otrzymał. Nie było łez, szlochów; żadnego teatru i pustych gestów, nieustannie zachowywała godność. Na jej twarzy, w dużych ciemnych oczach, widoczny był wyłącznie smutek. Nie było rozpacz, afektu, melancholii czy załamania nerwowego. Bił od niej za to niewysłowiony, niewyobrażalny żal. Zrozumiał, jak bardzo różnie podchodzili do tego, co ich łączyło. Swoim działaniem odczłowieczył ją, sprowadzając do roli nieświadomego narzędzia pomagającego w realizacji zadań służbowych. Stał się najważniejszą

osobą w jej życiu, wykorzystał i porzucił ją, pozwalając sobie opłakiwać, być może do ostatnich dni. Nie próbował tłumaczyć sobie, że taka była potrzeba służby. Wiedział, że byłoby to wątpliwe usprawiedliwienie, zwłaszcza dla tej dziewczyny.

Analiza sytuacji rozbudzała wyrzuty sumienia i rodziła pytania, które musiał zadać sobie Tadeusz Krzepicki. Nie chciał tych pytań, a jeszcze bardziej odpowiedzi. To zaczęło go przerastać. Postanowił zepchnąć Ingrid w głąb podświadomości i wymazać z pamięci. Zgłosił się do szefostwa Departamentu I MSW z prośbą o kolejny przydział.

*

– Melduję się, obywatelu generale. – Porucznik Tadeusz Krzepicki stał przed biurkiem szefa Departamentu I MSW, generałem brygady Zdzisławem Sarewiczem.

Pięćdziesięcioletni mężczyzna przyglądał mu się z uwagą. Dyrektorem Departamentu I był zaledwie od dwóch miesięcy, zdążył jednak poznać dokonania młodego porucznika, który od kilku lat okradał z tajemnic Zachodnie Niemcy. Był pod wrażeniem skuteczności metod wykorzystywanych w pracy operacyjnej. W wyglądzie stojącego przed nim oficera nie dostrzegał jednak niczego wyjątkowego.

– Spocznij – odpowiedział i z wyciągniętą dłonią wstał, by przywitać gościa. – Usiądźmy – wskazał niewielką ławę i fotele ustawione w narożniku gabinetu. Następnie, nie czekając, podszedł do stolika.

W tym samym czasie drzwi się otworzyły i sekretarka wniosła tacę, na której były ustawione dwie filiżanki z kawą i butelka brandy. Sarewicz nalał do każdej z filiżanek solidną porcję trunku i podniósł naczynie do ust.

– Nauczyłem się tego w Laosie – wyjaśnił, chcąc zrobić na Krzepickim wrażenie.

Nie udało się. Porucznik wiedział, że generał nie ma doświadczenia wywiadowczego i ma z tego powodu kompleksy. Do Departamentu przyszedł z dwójki, czyli z kontrwywiadu, jako zaufany generałów Pożogi i Kiszczaka. I choć bardzo się starał, traktowano go jak obcego.

– Dobrze – odpowiedział Krzepicki – chociaż osobiście nie przepadam.

– Widzisz, kapitanie ...

– Poruczniku – przerwał mu.

– To nieładnie przerywać przełożonemu, pouczanie jest niedopuszczalne, zwłaszcza gdy się nie ma racji – generał uśmiechnął się, ale nadal nie budził sympatii. – Za szczególne zasługi w umacnianiu bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego zostałeś przedterminowo awansowany na stopień kapitana. Minister Kiszczak podpisał wczoraj mianowanie. Chciałem cię o tym powiadomić osobiście – podał mu papierową teczkę, w której znajdowała się nominacja.

– Zaskoczył mnie pan. Nie będę więcej przerywał – chwycił teczkę i bez otwierania odłożył na stolik.

– Nie przeczytasz?

– Przeczytam, nie chciałem marnować pańskiego czasu.

– Spokojnie – odpowiedział Sarewicz – na naszą rozmowę zarezerwowałem godzinę.

Krzepicki otworzył teczkę, chwycił w lewą rękę akt nominacji i przeczytał wpisane drukowanymi literami: „NA STOPIEŃ KAPITANA”.

– Ku chwale ojczyzny, panie generale.

– Ku chwale, kapitanie. – General tyknął kawy, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zapalił francuskiego gitanesa. – Zapalisz? – zreflektował się.

Krzepicki pokiwał odmownie głową.

– Liberté toujours – odpowiedział.

– To znaczy? – spytał zdziwiony Sarewicz.

– „Zawsze wolność”. To motto marki od chwili jej powstania.

– Nie wiedziałem, dobre. – Rozbawiło go to, ale był trochę zawstydzony swoistą niższością, jaką odczuwał względem tego młodego człowieka.

– Czasem zapamiętuję takie drobiazgi, pomagają w relacjach z kobietami – Krzepicki zreflektował się, że rozmowa nie zmierza w dobrym kierunku. – Na panu generale nie robi to większego wrażenia.

– Przeciwnie, lubię dykteryjki. A co do wrażenia, jakie robią one na kobietach, zdaje się, że jesteś ekspertem w tej dziedzinie.

– Nie wiem, czy to powód do radości, czy bardziej utrapienia. Rozpocząć znajomość zawsze jest łatwo, gorzej z dobrym zakończeniem.

– To prawda, ale z punktu widzenia służby, biorąc pod uwagę twoje wyniki – do radości.

– Nie zawsze jest kolorowo – Krzepicki popił kawy – bywało ciężko.

– Tak? – zainteresował się.

– Estetyka, generale. W służbie liczy się informacja, inaczej niż w życiu. Wybierałem kobiety wyłącznie ze względu na możliwości pozyskania informacji – Krzepicki widział, że budzi zainteresowanie u siedzącego naprzeciwko człowieka – co zresztą było z mojej strony pójściem na łatwiznę. Zauważyłem, że kobiety mają dostęp do większości przydatnej wiedzy. Mężczyźni chętnie zlecają im proste prace: przepisywanie, kopiowanie, archiwizowanie dokumentów. W dodatku prawie nigdy ich nie kontrolują, jakby wstydziły się braku zaufania. Niczym rogadości uciekający od informacji o zdradzających ich żonach. To ten sam mechanizm.

– Pomijasz jedną kwestię, najważniejszą – Sarewicz dla podkreślenia wagi swojego spostrzeżenia podniósł do góry palec wskazujący.

– Jaką?

– Umiejętność nawiązania relacji z kobietami.

– To przecież nie jest trudne.

– Nie?

– Wystarczy, że mężczyzna słucha i jest miły. Przydaje się też poczucie humoru. Do tego od czasu do czasu drobne upominki, które nie mają przekupić, ale pokazać, że pamiętamy.

– A wygląd, wiek? – generał był ożywiony. – Nie ma znaczenia?

– Niewielkie – odpowiedział. – Nie trzeba być Jamesem Deanem, wystarczy minimum, a... – nie dokończył, choć korciło go, by dopowiedzieć „... a obywatel generał niestety tego minimum nie posiada”. Powstrzymał się, prawie przegryzając język.

– To ciekawe, co mówisz – spojrzał na zegarek. – Wiesz, dlaczego wezwałem cię osobiście?

– Będę szczery: nie wiem.

– Widzisz... W najbliższych dniach muszę podjąć ważną decyzję, ale mam za mało informacji. Chodzi o tę twoją Ingrid z niemieckiego ministerstwa obrony. Nasi partnerzy z rosyjskiego wywiadu, ściśle mówiąc z GRU, są bardzo zainteresowani danymi przekazywanymi przez tę panią. Dla nas to oznacza konieczność kontynuacji współpracy.

– Ona nie była świadomym źródłem – zmroziło kapitała. – Nie wiedziała, dla kogo pracuje.

– Wiem o tym. Niestety, ten skurwysyn Koryciński wydał ponad setkę naszych ludzi pracujących za granicą i nie mamy zbyt wielu innych możliwości...

– Ta opcja chyba odpada – wiedział, że zareagował zbyt nerwowo.

– Obawiam się, że to jedyna opcja, jaką mamy. Musisz odłożyć na bok uczucia, to nie powinno mieć znaczenia przy twojej opinii – Sarewicz był poważny, patrzył prosto w oczy Krzepickiego – pomimo tego, że Ingrid mogła zostać twoją żoną i w pewnych okolicznościach moglibyście nawet mieć dzieci i wnuki. Takie sytuacje zdarzały się w historii wywiadów. Kontrwywiadów też.

– W każdym razie będzie to trudne. Jej pozyskanie – spuścił z tonu.

– Ale czy możliwe?

– Chyba możliwe – nie był pewien, na które pytanie odpowiada.

– To chciałem wiedzieć – znów się uśmiechnął.

– Macie plan?

– Tak. Początkowo chcieliśmy cię wykorzystać, ale to mogłoby przynieść niemożliwe do skontrolowania reakcje z jej strony. Wymyśliliśmy, że sprowadzimy ją do Polski pod pozorem przekazania spadku, jaki jej zapisałś. To będzie spora kwota, myślimy o równowartości stu tysięcy marek niemieckich.

– To niepotrzebne, przyjedzie choćby po stare fotografie.

– Potrzebne. Damy jej te sto tysięcy. Musi tylko zgodzić się na kontynuację współpracy.

– A jeżeli się nie zgodzi?

– Zgodzi się. Powiemy jej, że zostałeś przez nas oszukany i myślałeś, że sprzedajesz informacje Amerykanom, że nie wiedziałeś, nie narażałeś jej świadomie, i takie tam dyrdymały – zawiesił głos. – Co o tym myślisz?

– Już rozumiem. Pomysł jest dobry, powinno zadziałać bez konieczności dodatkowego nacisku.

– W razie czego mamy też plan B.

– Nagrania, kopie dokumentów...

– Myślę, że obejdzie się bez tej przykrej konieczności – Sarewicz wstał i przeszedł po pokoju. Zatrzymał się przy oknie.

– Podzielam pańską opinię.

– Zależało mi na tej rozmowie, chciałem usłyszeć, co o tym myślisz, znasz ją najlepiej. Wiedza w twojej głowie, znaczy więcej niż stos raportów i analiz na jej temat. Jest jeszcze jedna kwestia, którą rozważam. Najważniejsza – zrobił pauzę dla podkreślenia wagi słów – możliwość dekonspiracji.

– Nie rozumiem – zdziwił się.

– Czy będzie potrafiła to udźwignąć i po powrocie do Niemiec nie zgłosi się do tamtejszego kontrwywiadu.

– Głowy nie położę, ale to wyjątkowo silna kobieta – Krzepicki był poważny. Nie odpowiadała mu rola, w której się znalazł. Chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę i znów zapomnieć o Ingrid. – Widział pan mój pogrzeb?

– Tak, widziałem.

– Na tym filmie znajdzie pan odpowiedź na swoje pytanie.

– Dziękuję ci. Doceniam to, co w tej chwili robisz dla służby – generał zdawał się mówić szczerze – jeżeli mógłbym coś dla ciebie zrobić, to...

– Chciałbym tylko wrócić do pracy zagranicznej – nie pozwolił mu dokończyć.

– To na razie niemożliwe. Nie wiemy dokładnie, kogo sprzedał Koryciński, szacujemy straty. Trochę informacji mamy z nasłuchu radiowego ambasady amerykańskiej. Na razie to jednak za mało. Musisz dwa do trzech lat pozostać w kraju, zanim upewnimy się, jak daleko to zaszło. Wtedy podejmiemy decyzję.

– Długo – wyrzucił z siebie.

– Chodzi o bezpieczeństwo, nie tylko twoje. Kolejny wyjazd będzie już pod przykryciem dyplomatycznym i oczywiście do innego kraju. Jako *nielegal* nie możesz już jechać, to zbyt duże ryzyko.

– Co przez te dwa lata?

– Dwa lub trzy – generał patrzył na drzwi. – Będziesz uczył młodzież w Kiejkutach.

– Generale – dosłownie jęknął – tylko nie to, proszę! Przysłowie: „Obyś cudze dzieci uczył” Chińczycy wymyślili dla mnie.

– Dykteryjka. Znów dobra – Sarewicz był rozluźniony. – Mogę ci załatwić oddelegowanie do kontrwywiadu. Szefowałem dwójce, mam tam dobre relacje.

– Jeżeli wyrazi pan zgodę, to chciałbym spędzić ten okres w Poznaniu.

– Załatwione. Pojedziesz do Poznania, ale nie zapomnę o tobie.

– Dziękuję.

– Na koniec jeszcze powiem, że generał Kiszczak był żywo zainteresowany twoimi dokonaniem. Przekazuje wyrazy uznania.

– Dziękuję – powtórzył Krzepicki.